

Mówili, że przyszedł Północnym Traktem. W czasie najgorszej piaskowej burzy, jaką widzieli w swoim życiu. Wiatr niosący ze sobą śmiertelne promieniowanie i kawałki skały wielkości pięści, a on nic sobie z tego nie robił. Nikt nie wiedział skąd przybył ani w jakim celu, ale to już dalsza część tej historii.

Dzień zapowiadał się jak każdy inny. Znowu marsz przez to cholerne pustkowia. I po co im była ta wojna? Niegdyś zielona Polska wyglądała teraz jak chędożona pustynia. W samą Warszawę uderzyło osiem bomb. Ale jak karzeł kazał tak nasi kochani inżynierowie pracowali w ukryciu nad tajną bronią. „Będzie dobrze” – mówili. „Nadchodzą najlepsze chwile naszego kraju” – tja... wspaniałe. Jak nam się unia do dupy dobrała, to nie było co zbierać. A potem jeszcze ataki terrorystyczne. I cały szlachetnie pilnowany pokój poszedł w pizdu. Każdy kraj wyciągnął to, co miał w zanadrzu i zaczęła się nuklearna rozpierducha. Oczywiście większość „cywilizowanych” krajów Europy zachodniej była na taką ewentualność przygotowana, mieli schrony i tarcze rakietowe i ucierpieli w trochę mniejszym stopniu, ale oczywiście my zawsze musimy mieć po dupie i nasz drogi prezydent olał sobie ochronę i dlatego wszystko teraz wygląda, jak wygląda. Mówiąc krótko i zwięźle – przejebane. Praktycznie nie ma już lasów, a jak coś zostało to bez opancerzonego transportera podprowadzonego z jednej z wojskowych baz nie masz nawet co tam wchodzić. Jakimś cudem dokopali się do nieskażonych wód głębinowych i cholera jest teraz droższa od złota. Po obiadku w którejś z ocalałych „metropolii” tykasz prochy przeciwpromienne jak tic-taci. Ludzie podzielili się na obozy i jak to bywa zamiast współpracować wyżynają się między sobą. Jedni siedzą jak pancerniki w swoich „miastach” zbudowanych z różnego rodzaju złomu i innych śmieci, inni natomiast zagospodarowali sobie podziemia (kanały po metrze i takie tam), czyszcząc je wcześniej z nowo powstałych lokatorów. Tak, oczywiście. Jak bombki się rozbiły to Czernobyl w porównaniu do tego to petarda. Namnożyło się cholernych żyjątek i teraz mucha może odgryźć ci głowę. Ale to już inna para kaloszy. Za dużo jest żeby to wszystko opisywać, ogółem jest źle. No i zostają jeszcze powstałe, ciężko ich jednoznacznie określić, grupy idiotów szlajających się po ziemi, udających, że są władcami świata; zakładają sobie nowe religie, kultury czy inne gangi i machają stalą przed twarzą każdemu napotkanemu typowi, który nie ma ich plemiennej dziary i wdżianka. No i tu pojawia się ostatnia grupa społeczna, do której skromnie mogę rzec, iż należę, czyli najemnicy. Przez wszystkich wyklęci i każdemu potrzebni.

Moje ogólne rozmyślanie przerwał hałas dochodzący z kupy złomu jakieś piętnaście metrów na lewo. Odpiąłem od pasa obżyna. Amunicja jest piekielnie droga, ale dobrze sprawdza się przy eliminowaniu ludzi, czy to popromiennych żyjątek. Uważnie celując, zbliżyłem się do źródła hałasu. Nagle wraz z fontanną rdzy, brudu i innego ustrojstwa zaczął biec w moją stronę, hmm... pies? Bydle miało grubo ponad metr w kłębie, nie przypominało żadnej znanej rasy sprzed wojny. Przyspieszona ewolucja wykształciła na jego ciele pancerz kostny. Nie wiem czy moje pociski mogłyby go przebić. Jak nie siłą, to spróbujmy po dobroci. Może coś uda się zrobić. Schowałem broń i z kieszeni wyciągnąłem resztki mojego śniadania. Zwierzak zatrzymał się zdziwiony i przechylił łeb w niemym pytaniu. Czyżby był aż tak inteligentny? Rzuciłem jedzenie w jego stronę. Złapał ochłap w locie i połknął w okamgnieniu. Tak samo pewnie wyglądałaby moja głowa w jego szczękach. Obdarzyłem go najbardziej paskudnym uśmiechem, na jaki było mnie stać, kucnąłem i zawołałem:

- Chodź bydlaku. – wyciągnąłem ręce w stronę stwora – Kici, kici!

Odpowiedział mi gulgot podobny do dławiącego się silnika. Coś nie tak. Wstałem,

odwróciłem się na pięcie i zacząłem iść we wcześniej wybranym kierunku. Wyciągnąłem rękę i przeciągle gwizdnąłem. A co mam do stracenia? To i tak piekło. Usłyszałem za sobą odgłos podobny do galopującego konia. A potem jęzor ostry niczym tarka przejechał mi po dłoni. Oczekujemy zakażenia... Ale cóż zobaczymy, jak to będzie. Miałem przynajmniej z kim pogadać. Niestety, drastycznie zwiększyła się też ilość potrzebnego jedzenia i wody. Z drugiej strony: on może polować.

Rozważałem tak wszystkie za i przeciw, gdy znów usłyszałem gulgotanie. Szybko zlustrowałem teren. Od zachodu zbliżały się do nas dwa szczury. Nie takie małe puchate stworzonka jakie znamy. To by było zbyt piękne. Jak tylko wrócę pamięcią do samych początków zaraz po wielkim grzybie, to widzę szaszłyki nadziewane na patyk w sosie własnym, do tego jeszcze trochę bimbru, aby zabić smak i proteiny jak się patrzy. Od samego myślenia znowu zrobiłem się głodny, a śniadanie poszło już pewnie do jelita grubego

- Fuck... Koniec marzeń! - spojrzałem przed siebie - tak... – to, co biegło to zupełnie inna bajka. Ścierwa miały ponad dwa metry długości i potrafiły jednym kłapięciem paszczy odgryźć nogę dorosłego mężczyzny. Ale i tak były niemalże najmniej niebezpiecznymi zwierzakami. Szkoda amunicji. Dobyłem maczety. Jednak „piesek” Bydlak (w sumie całkiem dobre imię, nie wyjdę na żadnego inteligenta- przy pierwszej oznace słabości łeb by mi ujebali przy kostkach. Sam brutal i cham - pieprzony prezent od Mikołaja!) okazał się samozwańczym myśliwym i zanim zdążyłem zareagować, rzucił się na spotkanie przeciwnikom. Kłapięciem szczęki odgryzł pierwszemu szczurowi pół głowy. Jednak nie doceniłem jego siły. Drugi zwierzak zupełnie stracił mną zainteresowanie i odwrócił się w stronę Azora (taki może jednak oldschool, powrót do korzeni? - tak wiem oryginalnie, ale cóż bądź tu człowieku kreatywny, kiedy nad głową wisi dzień w dzień widmo śmierci; nawet wysrać się bez broni nie można - na pohybel!! Zostać znalezionym ze spuszczoneymi spodniami i bez dupy - porażka!!). Paskuda (a może takie kobiece imię? Ba.. może jest jeszcze we mnie iskierka romantyzmu?) Zjeżył się przy tym niemiłosiernie i wydał przeraźliwy pisk. Nie pozostało mi nic innego jak rzucić trzymanym ostrzem, dokonując żywota popromiennej cholery. Nie zdążyłem wyjąć broni z truchła, gdy (Reksio- może takie makabryczne imię? W końcu połowa naszych rakiet balistycznych tak się właśnie nazywała.) zaczął konsumować swojego szczura. Przyznam, widziałem już jak jedzą chyba wszystkie stworzenia, ale takiej świni- mmm... schabowy!! - jeszcze nie widziałem. Nie wiem, na czym ma osadzone szczęki, ale jak prasa hydrauliczna miażdży kilka razy i połyka. Krew nawet nie pryska- mądry pierdolony, może tresowany? - mniej wody będzie na niego potrzeba. Czarna niczym smoła jucha zachlapała mu pysk i ochoczo tryskała na ziemię wokół. On jednak zdawał się tym nie przejmować.

- Smaczne... - mruknąłem - tobie i tak nic już nie zaszkodzi.

Bydlak wesoło zamachał ogonem, nie przerywając posiłku. Jest zbyt inteligentny jak na zwykłego psa. Chociaż w jego przypadku zwykły było mocno kolorowane, jeżeli nie mijające się z celem.

Wyszków... dziura zabita dechami, jakich sporo w tej części Europy. Chociaż ponad 300 mieszkańców robiło z niego niemal metropolię, miasto wojewódzkie. Kilkadziesiąt klit zbitych z najróżniejszego śmiecia. Wyobraźcie sobie wysoką na kilka metrów pisanekę, barwnie udekorowaną płytami metalowymi, wrakami samochodów i wszystkiego, co rdzawe i tandetne. Uzupełniały to przewrócone wagony, różnego rodzaju gruz i betony. Całość oplatał wijący się niczym bluszcz drut kolczasty... O dziwo, zachowało się też trochę przedwojennej zabudowy, co jest rzadkością w tych stronach. Mieli nawet ratusz. Pyszniła się przy nim wieża

Konwentu. Wielkomięjscy magowie. Pfy... pretensjonalne dupki, zgarniające (i tak będącą w tych czasach towarem deficytowym) kasę za nic. I do tego Kościół. KOŚCIÓŁ?! Od lat magowie tłuką się z klerem, po wojnie ich konflikt jeszcze przybrał na sile. No cóż, zapowiadało się ciekawie. Zapewne znajdzie się tu dla mnie jakaś praca. Pocieszony perspektywą zarobku i psucia krwi skurwysynom dookoła, rażno przekroczyłem granice miasta, z drepzczącym u boku i czyniącym niemałą furorę Azorem.

Piasek skończył drażnić ludzi kilka chwil temu. Strażnicy zobaczyli na trakcie obcego z "tym czymś" obok. Kiedy przyjrzeni się dokładniej, zrobiło im się słabo. Zastanawiali się, komu udało się oswoić demona tej okolicy. Mały eksperyment, który zżarł swojego pana. Ciekawiło ich, czy ten osobnik też podzieli jego los. Mało kto znał prawdę. Ludzie w mieście znów zaczną gadać. Na pierwszy rzut oka widać było, że z obcym nie warto szukać zaczepki. Jeżeli to kapitan był człowiekiem, który przypominał wilka, to ten tutaj, był lwem. Każdy jego ruch zdradzał, że jest gotowy na wszelką ewentualność. W jego oczach kryły się śmierć i szaleństwo. Włosy, krótko ścięte, na modłę dawnych żołnierzy, jeszcze bardziej wyostrzyły rysy ogorzałej od słońca i piasku twarzy. Ciemna bluza, a na nią narzucony płaszcz z mnóstwem kieszeni zasłaniały broń: przypiętą do biodra kaburę z obrzynem i przywiązaną do nogi maczetę. Drelichowe, zielone spodnie wpuszczone w cholewy glanów oplatały wystającą rękojeść noża. Zapewne strój i sama osoba kryła jeszcze jakieś niespodzianki, lecz nie ich rolą było o tym myśleć.

Biedni chłopcy. Zrezygnowali nawet z rytualnego pytania o cel przybycia. Jeden tylko zdołał wydukać coś, na kształt powitania. Najemnik poczęstował go szczególnie paskudnym uśmiechem, a jego zwierzak wyszczerzył kły, imitując minę swego pana. Głos do reszty uwiązał w ich gardłach. Cóż, wspaniały, zachęcający do współpracy początek w mieście.

Trzeba zaczerpnąć trochę informacji. Powoli, rozkoszując się smrodem i krzykiem "miasta" mijam ulicę za ulicą. Dopiero przygasły neon zwrócił moją uwagę. "Bunkier". Klasyczny żart karczmarzy i tanich komików. Bardzo kurwa śmieszne. Wcześniejszy dobry nastrój zaczął znikać zaraz po wkroczeniu do miasta. Nienawidzę tych zbiegowisk. Zbita ludzka ciżba siedząca na bombie. Wystarczy mała iskra, żeby cały ten misterny porządek szlag trafił. No ale cóż, trzeba za coś żyć. Do tego mam jeszcze jedną gębę do wykarmienia. Kundel jakby czując mój zły nastrój polizał mnie lekko po rękę. Ehh... naprawdę myślałem, że oduczyłem się już tego, ale nadal udziela mi się nastrój miasta. Jak ciężko jest zwalczyć dawne przyzwyczajenia. Teraz wszystko toczy się innym rytmem. Powoli wkroczyłem do baru. Blade świetlówki niemrawo błyskały pod sufitem. Wygrzebane z jakiegoś śmietnika wiatraki ledwo się poruszały, zgrzytając niemiłosiernie. Pobielone wapnem ściany umazane teraz na jakiś bliżej nieokreślony kolor dopełniały ponurego wrażenia. Przy zbitych o dziwo głównie z drewna i blachy stolikach siedzieli najróżniejsi ludzie. Ale nie można narzekać na klientelę. W końcu to tutejsi. Podłoga pozostawiała wiele do życzenia. Chociaż dobrze ubite i zadbane klepisko jak to jest lepsze niż strasząca rdzą i dziurami blacha. W powietrzu unosił się smród taniego, zapewne pędzonego przez właściciela bimbru i skwaśniałego piwa. Widocznie gospodarzowi dość dobrze się powodziło, skoro stać go było na takie specjalności. Rarytasem w większości przypadków była niedokładnie oczyszczona woda. Dobrze, że chociaż nie świeciła. Poczulem w powietrzu delikatny zapach. Jedzenie. Czyżby w tej miejscinie znalazła się knajpa na poziomie? Może w końcu się najem. W portfelu miałem jeszcze wynagrodzenia za poprzednią robotę. Najpierw przyjemności, potem zaciągniemy trochę informacji.

Błaszane drzwi powoli się otworzyły, zgrzytając źle nasmarowanymi

zawiasami. Gwar charakterystyczny dla barów ucichł. Wszyscy wpatrywali się w przybysza. Rzadko kiedy w tych czasach w mieście pojawiają się obcy. Muszą być szaleni albo bardzo zdesperowani. Ewentualnie jedno i drugie. Nikt normalny nie traktuje przecież popromiennego stwora jak domowego pieska. Gdyby nieznajomy wyglądał mniej groźnie, może gdyby nie biła od niego tak niebezpieczna aura, może gdyby nie wyrażał pewności siebie każdym krokiem, wtedy wszyscy wpatrywaliby się w niego niczym w obrazek. Może wtedy wycofałby się speszony. Jednak wszystko potoczyło się inaczej. Spojrzenia były ukradkowe, rzucane w pośpiechu znad ramienia. Byleby tylko nie spotkać jego wzroku. Byleby nie stanąć z nim twarzą w twarz. Mało kto miał ochotę na zwadę, w czasach, gdy o leki było tak trudno. Ale niestety (a może i stety) zawsze znajdują się chętni do bitki. Mocno podpity już młodzian intensywnie wpatrywał się w najemnika. Nie widać było w nim choć cienia strachu czy skruchy. W jego oczach buzował ogień podsycany dodatkowo pijaństwem. Ostatnie szybkie słowo do kolegów i chwiejnym krokiem zaczął zbliżać się do stolika nowoprzybyłego. Stał nad nim, opierając się ciężko o blat. Pies wydał z siebie ostrzegawczy warkot zanim awanturnik zdążył się odezwać. Nie uczyniło to na nim większego wrażenia. Nalany byczek, zionąc tanim alkoholem, zaczął swój wywód, nie szczędząc przy tym głosu:

- Wyglądasz na takiego co to mocny tylko w gębie jest – niestety, nie rzuciło mu się jeszcze na mowę, a szkoda bo cała scena jeszcze bardziej przypominałaby kabaret - taki chojrak, a jak przyjdzie co do czego, to lejesz w spodnie!

W sali zaległa całkowita cisza. Była nieprzenikniona, jakby wkomponowana w obraz jakim jest karczma. Raniły ją tylko zgrzyty wiatraków. Najemnik spokojnie uniósł wzrok na interesanta. Jakie smutne było jego spojrzenie. Przepętnione żalem i współczuciem dla szukającego zwady wyrostka.

- Odejdź chłopcze. - powiedział cicho - dopij swoją kolejkę i wracaj do domu. Niepotrzebny nam tu rozlew krwi.

Lekkość i naturalny ton, jakim to powiedział; jego głos, w którym dźwięczała stał i szumiał pustynny piach. To wszystko sprawiłoby, że normalny człowiek odwróci się na pięcie i grzecznie zajmie się własnymi sprawami. Jednak przytępiony umysł chłopaka nie wyczytał tych delikatnych impulsów. Wprost przeciwnie. Wziął to za groźbę, za chęć sprawdzenia się, zmierzenia sił. Szybciej niż zdążył o tym pomyśleć, chwycił przybysza za ubranie i podniósł go zza stołu. Gdy uniósł pięść do ciosu, sufit zdrzął od jego krzyku. Ręka, którą niedoszły kat trzymał swoją ofiarę, wyginała się pod dziwnym kątem. Gdyby teraz ktoś spojrział w oczy przybysza, zobaczyłby w nich błysk dobywanego ostrza, huk wystrzału, ryk wiatru walczącego o usłyszenie przy akompaniamencie krzyków bólu. Zobaczyłby rzeki, które spłynęły krwią, bezgraniczną rozpacz i szaleństwo, powietrze, którego melodia przerywana jest przez świst kul. I gdzieś tam, na samym dnie- oczekiwanie... Jednak rozmyślenia przerwał kolejny krzyk chłopaka. Jego nos, przypominający teraz czerwoną plamę, wylewał z siebie krew szeroką strugą. Kolejny szybki jak błyskawica cios trafił w skroń. Awanturnik zwałił się na podłogę bez przytomności. Jedno uderzenie serca później wydawało się, że wszyscy jednocześnie wypuścili wstrzymane dotąd powietrze. Ale jest tak, że po naszych czynach, przychodzi czas na konsekwencje.

Powoli opuszczał mnie wypracowany przez lata zimny spokój. Głębokie westchnięcie prawie rozerwało moją klatkę piersiową. I po co to było? Ten mały pokaz. Siłą rzeczy może dzięki temu wyrobiłem sobie jakąś renomę, ale ludzie zaczęli się mnie bać. A to nie pomaga przy zdobywaniu informacji. Złe to też wygląda, gdy przyszły pracodawca na twój widok trzęsie się niczym osika. Ale miałem pozwolić żeby ten gówniarz rozwałił mi twarz. W mojej sytuacji mogło to być

trochę kłopotliwe. Całkowicie straciłbym poważanie u ludzi. Kierując się odruchem, skręciłem sobie papierosa. Tytoń był luksusowym towarem, ale wystarczyło wiedzieć, gdzie szukać. Albo mieć kontakty. Szczęk benzynowej zapalniczki wydawał się gromem w dusznej sali. Zapewne snułbym dalej swoje rozmyślenia, gdyby z tłumu gapiów nie wyrwali się koledzy chłystka. Po ich minach widziałem, że nie są już tak skorzy do bitki. Wzięli swojego kolegę za rękę i wywlekli z lokalu. Słyszałem w tym czasie ich groźne szepty:

"Nie wiesz, z kim zadarłeś.". "Nie masz pojęcia, kim on jest", "Zobaczysz jak cię urządzimy.". Takie tam pieprzenie. Choć może jednak chłopaczek był synem jakiejś szychy. Wtedy moja wizyta mogła stać się jeszcze bardziej ciekawa. Rzuciłem wzrokiem po mojej publice. Wszystkie spojrzenia poza jednym natychmiast utkwily w swoich talerzach. Dawno nie widziałem tak niebieskich oczu. Mógłbym powiedzieć, że zapadłem się w nich. Albo, że uwiodło mnie to spojrzenie. Ale romantyczność umarła we mnie razem z wrażliwością. Poczulem ciekawość. Spokojnie usiadłem na swoim miejscu i czekałem na barmana. Ona podeszła, gdy sączyłem spokojnie piwo, czekając na posiłek. Wróć. Nie podeszła. Ona sunęła. Nie była ubrana szczególnie wymyślnie. Raczej praktycznie. Bez słowa przysiadła się do mojego stolika. Starając ugryźć (a może najpierw odpiłować?) twardego jak podeszwa mojego buta kotleta słuchałem opowieści nowo poznanej osóbk. Przy odrobinie szczęścia w nowym mieście, instytucji czy gdziekolwiek będziesz się szlajać, znajdziesz kogoś kto cię "wprowadzi". Naświetli, na jakich zasadach opiera się miejscowa polityka, kto komu wydaje polecenia i gdzie, tak jak w moim przypadku, najłatwiej jest o pieniądze. Kimś takim dla mnie była Aribeth. Dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy i powoli zaczął mi kiełkować w głowie pewien plan. Ale wszystko wyjdzie w praniu. Po głowie cały czas krążyło mi kilka pytań. Dla kogo tak naprawdę pracowała moja rozmówczyni i jaki miała interes w tym, że mi pomagała? Przez głowę przelatywały mi setki możliwości. W jednej chwili doznałem olśnienia (albo w końcu pogryzłem tego cholernego kotleta, do tej pory nie jestem pewien). Jak chcesz szukać konkretnych informacji, poszukaj w półświatku. Pożegnałem się grzecznie z moją rozmówczynią. Miałem przeczucie, że jeszcze się spotkamy.

Każde miasto ma swoją "ciemną stronę". W tym przypadku były to kanały. Oczywiście w odpowiedni sposób powiększone, w większości uprzątnięte i (niech los ma ich w swojej opiece) posiadające dobrą wentylację. Wyszaków budził we mnie coraz większe zdziwienie. Może warto zostać tu trochę dłużej. Jest wiele metod, dzięki którym można dostać się do "szefa". Ja wybrałem tę najprzyjemniejszą. Spacerowałem sobie, wesoło spoglądając na pomazane graffiti ściany, (pies szedł w znacznej odległości za mną, gra pozorów) gdy usłyszałem dźwięk otwieranego noża sprężynowego i nieśmiertelny tekst:

- Kasa albo wpierdol.

Nie chciałem okazywać zbyt dużej radości, że udało mi się wciągnąć biednego gnojka w moją grę. Dajmy mu troszkę radości z życia. Troszkę... Odwróciłem się do chłopaka, uśmiechając się serdecznie. Na oko dwudziestoletni, ogolony na łyso gówniarz postury narkomana. Uśmiechnąłem się jeszcze szerzej, widząc jego strach.

- Wpierdol - rzuciłem wesoło, po czym rozległo się gulgotanie Azora. Niestety chłopak nie wytrzymał presji i cóż... przeszukiwanie go było straconą sprawą. Nawet nie musiałem go szczególnie namawiać, żeby zaprowadził mnie do swojego przełożonego. Teraz tylko po sznurku do kłębka. Czyżbym był sadystą? Niiiee. Raczej lubię pokazywać ulicznym twardzielom, jak bardzo się mylą. Pamiętam czasy przed wojną. Tylko wtedy za wszystko karali. Teraz mogłem się pobawić. No, co? Każdy odnajduje w jakichś szczegółach radość dnia codziennego. Przez pewien

czas wszystko szło gładko. Dopiero pod koniec drabiny zależności zaczęły się problemy. Przecież jacy to oni są ważni. Ehh... i trzeba brudzić sobie ręce. Chociaż też nie zawsze. Z reguły wystarczyło, że gwizdnąłem na swojego pupila. Przygarnięcie go było dobrym pomysłem. Ułatwiał mi pracę. Jak na razie.

Któryś z kolei "lider" prowadził mnie do swojego szefa. To już zaczęło się robić nudne. Czuję, że coś jest nie tak. Za kolejnym zakrętem korytarz znacznie poszerzył się, zmieniając w swego rodzaju salon. To miasto żyło na kilku piętrach. Wskazali mi stolik, do którego miałem się dosiąść. Naprawdę myśleli, że jestem taki głupi. Nie wiem, ile zapłacili temu biednemu bezmózgowi. Spokojnym krokiem podszedłem do stolika i huknąłem o blat głową rozmówcy. Zanim podniósł się krzyk, zdążyłem tylko powiedzieć: "Azor! Szalej!" Kundel nie potrzebował słów zachęty. Skoczył na najbliższego przeciwnika jednym kłapięciem szczęk, pozbawiając go twarzy. Oponenci mieli znaczną przewagę liczebną, ale na moją korzyść działał ich brak zsynchronizowania oraz stoliki i krzesła zagradzające drogę. No i oczywiście jeden malutki, tygi szczegół. Nie mieli broni palnej. Poza tym palantem, który leżał nieprzytomny przy stoliku (tak mi się przynajmniej wydawało). Pierwszy nieszczęśnik rzucił się na mnie z nożem. Próbował mnie dźgnąć w bieg, robiąc to z gracją szarżującego słonia. Płynnym ruchem zszedłem z jego drogi dobywając maczety. Odrąbałem mu rękę w łokciu. Fachowo, jak cyrulik. Jednego mniej. Moja bestia szalała sobie w najlepsze, siejąc zniszczenie i popłoch w szeregach mieszkańców kanałów. Kolejny, któremu udało się do mnie przedostać miał coś na kształt włóczni, zrobionej z pręta zbrojeniowego. Ten, który próbował zająć mnie od tyłu, sapiąc niemilosiernie, przedzierał się przez sale. Kiedy był już blisko wziął jedno z krzesel i chciał mnie bezczelnie znokautować (cóż za oryginalność...). Tylko, że zamiast podejść i uderzyć, wpadł na cudowny pomysł rzucenia w moją skromną osobę. Jeszcze celował w głowę. Wystarczyło kucnąć. Reszta załatwiła się sama. Cios przyjął biegnący na mnie włócznik. Przyznam jego siła była imponująca. Gość padł z jękiem na posadzkę. Chwyciłem jego broń i cisnąłem nią w stronę geniusza. Grot z cichym mlaśnięciem przedarł się przez ciało i wyszedł po drugiej stronie. Kolejna dwójka z głowy. Sześć do trzech. Ten "pies" wygryza mnie z etatu. Ruszyłem w stronę kolejnego przeciwnika z moim ostrzem w dłoni. Nawet na mnie nie patrzył, zbyt zajęty oglądaniem masakry w wydaniu Azora. Jedno cięcie pozbawiło go głowy. I znów będę musiał wyprać płaszcz. Same kłopoty. Zostało ich dwóch. Jeden z nich wyciągnął schowany wcześniej pistolet. To przestało być zabawne. Wolną ręką wyciągnąłem z kabury obrzyn. Huk wystrzału wstrząsnął powietrzem. Jedną z zalet tej broni jest to, że nie słychać krzyków trafionego. Jeżeli dobrze wycelujesz, nie ma czym krzyżeć. Ostatni łotrzyk próbował uciec. Niestety ołów jest szybszy. Przeładowałem broń i karcąco spojrzałem na pupila. Chciał już zaczynać ucztę. - Azor! Wstrzymaj się! – daję słowo, wyrzut w jego oczach przerażał, no ale cóż, trzeba być twardym, a widok ucztującego zwierzaka może być kartą przetargową- na chwilę.

Wydawało mi się albo się uśmiechnął. Chyba pora odstawić te nowe leki przeciwko promieniowaniu. Wróciłem do swojego "kontaktu". Dalej leżał nieprzytomny przy stole. Te bandziory są coraz delikatniejsze. Weź tylko takiego tknij, a zaraz się posypie. Aż miałem ochotę zanucić "Wake up!". Zamiast tego wylałem na chłopaczka zawartość ocalałego kufła (oczywiście zabierając wcześniej broń i inne przydatne bajery). Momentalnie się ocknął, chyba nieświadomy jeszcze swojej sytuacji. Spojrzał na mnie z ukosa, przypominając sobie zaistniałą sytuację. Uśmiechnąłem się do niego, jak to miałem w zwyczaju i przysiadłem się do stolika. Aż się wzdrygnął. O to chodzi. Nie musiałem nawet pytać. Sam zaczął śpiewać. Za

całą akcją stał Kościół. Czyli wniosek jest prosty- przyjmujemy zlecenie od magów. Co prawda, nie lubię współpracować z żadną ze stron konfliktu, ale gdybym był wybredny, nie miałbym co jeść. Tylko dlaczego akurat zależało im, żeby mnie uciszyć. Nie dowiedziałem się niczego o Aribeth. Za to miałem niedaleko do ich "głównego szefa". Uśmiechnąłem się w duchu. To będzie ciekawe. Może wtedy dowiem się czegoś więcej.

- Piesku! - rzuciłem na odchodne - Ucztuj.

Do moich uszu doleciał wrzask nieszczęśnika. Czy on naprawdę myślał, że zamach na moje życie ujdzie im na sucho?

Do drzwi szefa dotarłem bez przeszkód. Do wszystkich dotarły już wieści o masakrze. Zwłaszcza, że obok truchtał uwalany krwią Azor. Kiwnąłem na niego ręką, żeby został przed drzwiami, a sam powoli wkroczyłem do gniazda żmii.

Pokój utrzymany w klimacie przedwojennych filmów o gangsterach. Powietrze było ciężkie od dymu (jeszcze powiedzcie, że mieli cygara) i smrodu alkoholu (tak, wódka śmierdzi). Pomieszczenie spowiadało półmrok. Jedynym źródłem światła, była lampka na drewnianym biurku (nie wiem skąd mieli na to kasę, ale efekt był ciekawy).

Usłyszałem suchy trzask zapalniczki i miejscowy Don Corleone zapalił (a jednak...) cygaro. Czyli się przelewa. Ktoś ich kontroluje. Rozsiadłem się wygodnie w fotelu. Na tym etapie już nie będzie żadnych pułapek. Wymownie spojrzałem się na przywódcę.

Czyli finansował ich Kościół. I planowali coś dużego. A ja im, suczym synom, napsuję trochę krwi. Wybiłem chłopakom z głowy podkładanie bomby pod ratusz. Nie omieszkałem przy tym zabrać ładunków. Miałem też już swoje lokum i bazę wypadową. Teraz trzeba się spiknąć z tymi ulicznymi czarodziejami. Załatwmy to wszystko póki jeszcze jest gorąco.

Dzięki uprzejmości chłopaków z podziemia spotkanie z magami nastąpiło bardzo szybko. Najemnik czekał spokojnie w umówionym pokoju (miasto miało też swój hotel; nie do pojęcia...), sącząc piwo. Leniwie drapał Azora za uchem, który wydawał w tym momencie odgłos przetaczającego się gromu (nie wiadomo czy miało to być coś, na kształt mruczenia, ale mina wchodzącego maga była bezcenna).

Przywarł do futryny drzwi, wczepiając się w nią palcami. Oczy przypominały spodki.

"Czyżby wiedział coś na temat tego kundla?"- przez głowę wędrowcy przebiegła szybka myśl. Miał w rękawie kolejną kartę przetargową. Gestem zaprosił gościa, aby usiadł naprzeciw. Cenił sobie kontakt wzrokowy. Wiedział, gdy rozmówca kłamie.

Nowo przybyły, choć nadal spięty i przerażony, usiadł sztywno, wpatrując się w pupila.

- Powiedz mi, co o nim wiesz. - zapytał wprost najemnik

Wydawało się, że mag dopiero w tym momencie odzyskał głos.

- To po części efekt naszego eksperymentu, a po części popromienna zmora.

Chcieliśmy wykorzystać czary do likwidowania tych monstrów, które rozpleniły się po wojnie. Jednak TEN obiekt wchłonął zaklęcia, którymi go obłożyliśmy i jego ciało zostało nieprzeciętnie wzmocnione. Jest niewrażliwy na magię i broń palną. Dlatego zanim uciekł, przetrzebił mocno nasze szeregi. Wielu śmiazków próbowało coś z nim zrobić, jednak pierwszy raz widzę, żeby zachowywał się jak zwyczajny kundel.

Od momentu rozpoczęcia wywodu gościa, Azor wydawał się uśmiechać, z każdą chwilą coraz bardziej szczerząc kły. Jednak, kiedy usłyszał obrazę skierowaną w jego stronę, ukazał cały garnitur swoich imponujących zębów i w pokoju rozległo się charakterystyczne gulgotanie. - ZABIERZ GO! USPOKÓJ TO BYDLE!

Delikatny uśmiech nie schodził z twarzy przybysza. Musiał zachować jakieś resztki powagi. Nie mógł zrazić do siebie tej kolorowej przekupki. Aż tak. W tym momencie magik ukazał pełnię swojego tchórzostwa i bezsilności. Był bardzo szczupły, ostre

rysy twarzy i czarne włosy sprawiały, że przypominał kruka. Jednak w tym momencie bardziej pasowałoby określenie nastroszony wróbel. Szata, jego insygnia, ukazująca status społeczny, kolorowa jak nieszczęście (odczytywała nastrój posiadacza, a cholery zazwyczaj pyszniły się wszystkim wokół i ogółem ciężko było z nimi wytrzymać, ale mieli to do siebie, że potrafili się przydać) teraz nabrała dziwnie burzowego koloru. Lepiej nie wnikać w szczegóły. A każdym kolejnym słowem chłopaczek jeszcze bardziej się pogrążał.

- Azor siad. - I po cholere te krzyki, i cały ten teatrzyk? - Jak będziesz grzeczny to później się z panem pobawisz.

Mag zachłysnął się wypuszczanym powietrzem i jęknął przeciągle. Zaczął się bać. To dobrze. Warkot bestii przeszedł w coś, co zbyt bardzo przypominało ludzki śmiech.

- Dziękuję... - wyszeptał blady czarodziej

- Jeszcze nie czas. Wiem, jak wygląda ogólna sytuacja między Kościołem a magami, ale w tym mieście sytuacja jest hmm... troszkę bardziej zaostrzona. Dowiedziałem się, że chcą was całkowicie wyeliminować z gry.

Wyobraźcie sobie białe, sterylne ściany szpitala. Twarz rozmówcy zrobiła się jeszcze bardziej biała.

- Wiedziałem, że coś kombinują, ale nie na taką skalę. My zajmiemy się akcją dywersyjną, a ty otrzymasz zadanie specjalne. - Najemnik uśmiechnął się szeroko, to chciał usłyszeć. - Zabijesz głowę Kościoła w tym mieście, a później się ulotnisz. Nie będę wtajemniczał cię w szczegóły. Dostaniesz pieniądze, dużo pieniędzy i... samochód.

Oczy najemnika rozbłyły. Słyszał co prawda o pojazdach skonstruowanych po wojnie, ale nigdy ich nie widział. To będzie ciekawe.

- Dobra. Ale postawcie wszystko w umówionym miejscu. Będę musiał szybko się ulotnić.

- Wszystko będzie przygotowane. Nie możemy pokazać, że braliśmy udział w spisku. Naszym alibi będzie spotkanie okręgowe w wieży. Masz godzinę na przygotowanie.

Na to czekałem. Robota, akcja, pieniądze. A raczej wizja duuużego zarobku.

Jeszcze to autko. Aż cały chodziłem na myśl o takim sprzęcie. Nie musiałem się przygotowywać. Wszystko miałem przy sobie. Na czarny rynek uzupełniłem tylko zapas amunicji. I pochowałem po kieszeniach nowe zabawki od pokonanych zamachowców. Jeszcze tylko krótki spacer, żeby rozpoznać teren. Wróciłem do hotelowego pokoju. Chwilę później usłyszałem na dworze krzyki. Zamieszki.

Wpływowe są te przekupki. Spokojnie wyszedłem na zewnątrz. Piesek odstraszał potencjalnych agresorów. Szybko znalazłem się przy kościele. Ich zwierzchnik cały dzień przesiadywał w swoim gabinecie. Motłoch już zdążył narobić trochę bałaganu, ale mnisi pilnujący kościoła, robili co mogli, żeby ich uspokoić. Cały budynek otoczony był wysokim murem. Jednak od czego ma się pomocnych znajomych. I psa. Linka z kotwicą rozwiązała problem wejścia. Zacząłem się zastanawiać, jak wpuścić tu Azora, kiedy bydle twardo wylądowało obok mnie. Jeżeli skacze na ponad trzy metry, to nigdy nie chcę być jego potencjalnym obiadem. Mnisi byli zajęci zamieszkami. Mogliśmy spokojnie przedostać się do budynku. W kaplicy był jeden strażnik. Wystrzał zaalarmuje całą okolicę.

- Jest twój. – wyszeptałem.

Nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wszystko odbyło się bez jednego dźwięku.

Mimo, że wiele już widziałem, dalej wygląda dla mnie dziwnie trup bez głowy, robiący dwa kroki. W końcu jestem tylko człowiekiem. Dalej po schodach. Na sam szczyt.

Strażnik przed samymi drzwiami zauważył nas, ale zdążyłem rzucić nożem. W ostatniej chwili jego krzyk ugrzązł w gardle. Cóż musi w nas zostać choć trochę

kultury. Drzwi były zamknięte. Nie, nie wyważyłem ich. Przestrzeliłem zamek. Obaj spokojnie weszliśmy do pokoju. Na podłodze leżał gruby dywan koloru zaschniętej krwi. Ściany wydawały się przytłaczać, ciężkie od złota, obrazów i innych bzdetów. Z (dębowym!!) biurkiem siedział sędziwy staruszek. Stereotyp pocziwego dziadka. Gdyby nie fakt, że był bezlitosnym skurwysynem.

- Dam ci wszystko, co chcesz. Zapłacę więcej. Ze mną osiągniesz wszystko. -
I zaczęła się litania. Czy oni nigdy tego nie rozumieją? Jak można być tak beznadziejnym? Ludzie bez honoru.

- Wybacz starcze. Nie mam w zwyczaju zdrady. Z resztą, oni i tak lepiej płacą. -
Mówiąc to, uśmiechnąłem się szyderczo i wyciągając obrzyna, wystrzeliłem jednocześnie z obu luf. - Azor! Spieprzamy stąd!

W biegu przeładowałem broń. Na schodach spotkaliśmy pierwszego strażnika. Musiał być jeszcze w kaplicy. Kopniak w klatkę połamał mu mostek i kilka żeber. Przy okazji czekała go długa droga w dół. Ołtarz. Teraz szybo do bocznego wyjścia. Za plecami usłyszałem otwierane główne wrota kościoła i oczywiście krzyki rozwścieczonego tłumu gdzieś w tle. Ale przeważały wołania pod tytułem: "Ekscelencjo! Panie nasz, Odezwij się!" i inne bzdury. Przeczekałem inwazję narwanym idiotów za jedną z kolumn. Wyszedłem po cichu bocznym wyjściem. Główna brama została niemalże sforsowana przez nacierający tłum. Koło piętnastu mnichów starało się ją utrzymać. Reszta rozpierzchła się po sanktuarium. Przeszukałem swoje kieszenie. Prezent od pracodawcy- granat. Rzuciłem go w sam środek obrońców. Huk zagłuszył na chwilę wszystko wokół. Oczywiście zrobiłem to tak, żeby wyglądało to, na sztuczkę Kościoła. Wrzący nienawiścią i żądzą mordy motłoch wdarł się na plac. Teraz wystarczyło tylko przebić się między nimi. Ku nagrodzie.

Schodziłem w dół brukowaną ścieżką. Kazałem wcześniej sprawdzić tym z podziemia, czy magowie dotrzymali swojej części umowy. Wiedziałem, że czeka na mnie nagroda. Dość okazała nagroda. W cieniu jednego z domów widziałem stojącą Aribeth. Uśmiechała się do mnie. Odwzajemniłem jej uśmiech, wyciągając zapalnik. Słońce zachodziło czerwienią. Nad miastem unosił się dym zmian.

- Władza dla ludu, skurwysyny...

klik